



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIEĆ.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

STOWARZYSZENIA KOBIEĆ

w celach pracy lub opieki nad pracownicami.

„Pracować razem, czuć bratnią spójnię, to jakoś serce bije podwójnie“—śpiewał nasz lirnik wioskowy, miły każdemu nieburzliwemu sercu, Syrokomla. I miał rację;—natura sama wiecznie w łańcuchy się wiążąca, pobudza i człowieka do szukania spółki życiowej, ku wspólnym celom dążących jednostek. Z tej zasady wyrosły wszelkie stowarzyszenia, na niej też podstawa wielce potrzebnych tak pod użytecznościowym czysto, jakoteż i pod moralnym względem towarzystw „Pracy kobiet.“ Ma ich Galicya dotychczas trzy (3). Jedno w Krakowie, jedno we Lwowie i jedno w Kołomyi, zatem objęte są ich działalnością trzy punkta kraju: zachód, środek i wschód. Są to w istocie stacye najważniejsze, jakkolwiek bez wahania przyznać musimy, że zdałoby się tych stowarzyszeń więcej. Głównym zadaniem istnienia takich stowarzyszeń jest przygotowanie ubogich dziewcząt do zarobkowania szyciem i krawiecczyną.

Jeśli rodzicom trudno jest posyłać córkę do szkoły dalej jak do lat jej dwunastu, to jest do czwartej klasy normalnej, mogą ją za zgodą władz szkolnych oddać do stowarzyszenia „Pracy kobiet.“ Tam obok szwalni znajduje się szkoła powtarzania, gdzie uczą języka polskiego, stylistyki, rachunków, geografii i historii, rysunków, religii, zatem tego wszystkiego, co takiej w przyszłości robotnicy, jakie przygotowuje „Praca kobiet“—może być potrzebne. Uczy się ona szyc, haftować, wiązać frendzle, kroju bielizny i sukien, cerować poprawnie, słowem wszelkich działów szycia potrzebnych

w domowym gospodarstwie i zawodzie specjalnym.

Stowarzyszenia „pracy kobiet“ mają przed sobą istotną przyszłość, zwłaszcza po ulepszeniu i zmianie statutów. Samo szycie i jego nauka nie wystarczały, jak się okazało niedawno do rozwoju Stowarzyszenia.

Jako przykład bierzemy lwowską „Pracę kobiet.“ Uczenie było coraz mniej i nie w tem dziwnego, gdyż szycia i kroju uczy u nas kurs praktyczny szkoły dopełniającej przy wydziałowej szkole im. Królowej Jadwigi, (który oprócz szycia, kroju, haftów ozdobnych, malowania dekoracyjnego, ma także osobny kurs gotowania) zaś tego, co dawała szkoła powtarzająca *Pracy kobiet*—uczą w każdej szkole ludowej lub na kursie popołudniowym—dopełniającym każdej szkoły. Która zaś z dziewcząt chciała się sposobić na szwaczkę, wołała odbyć krótszy choć płatny kurs kroju w prywatnych odosobnionych szkołach utrzymywanych przez dobre krojczynie. Tak było we Lwowie i Krakowie—gdy tymczasem Kołomyja cieszyła się większą liczbą uczennic, a przynajmniej stalszem ich uczęszczaniem. U nas bowiem bardzo często się zdarza, że zapisze się uczenie około stu, a do końca kursu liczba ta opadnie niemal do połowy. A właśnie najważniejszym punktem jest przeprowadzenie systematycznej nauki. Stowarzyszenia Pracy kobiet są instytucjami zupełnie prywatnymi, utrzymywanymi ze wkładów członków wspierających lub honorowych i z jakiegoś większego zapisu, który najczęściej stanowi zakładowy kapitał. Niedoborów nie wykazują sprawozdania nigdy, jakkolwiek członków nie mają wiele—ale za to cieszą się przychylnością władz autonomicznych i instytucji znakomitszych, które stale zasilają „Pracę kobiet.“

I tak np. w roku ubiegłym otrzymała tu instytucya z wydziału krajowego 700 złr., z kasy oszczędności 200 złr., a państwowego zasiłku

500 złr. Rok 1896 przyniósł w dotychczasowym statucie zmiany wyżej już wzmiankowane, i całą instytucję postawił na gruncie rzetelnej użyteczności społecznej. Zmiany te uchwalone przez walne zgromadzenie zostały przez namiestnictwo rządowe zatwierdzone. I tak dawniejszych członków honorowych zastąpiono członkami wspierającymi—obok których istnieją także członkowie zwyczajni. Członkiem zwyczajnym może być każda robotnica, obyczajnie się prowadząca i opłacająca na rzecz Stowarzyszenia koronę rocznie (pół rubla). Korzysta ona głównie z biura wywiadowczego, którego zadaniem jest pośredniczenie w wyszukiwaniu i dostarczaniu pracy ręcznej. Drugą ważną zmianą jest założenie „Domu opieki“—na wzór istniejącego od kilku lat zakładu z tym samym celem w Krakowie pod wezwaniem św. Jadwigi. Zadaniem „Domu opieki“ jest dostarczanie robotnicom, zajęтым w różnych fabrykach, pracowniach i przedsiębiorstwach, mieszkania i wedle słów statutu „opieki moralnej, stworzenia dla nich ogniska, gdzieby w razie potrzeby radę i pomoc znaleźć mogły.“ Z „Domu opieki“ korzystać mogą członkowie czynni, za opłatą trzech koron miesięcznie (rs. 1 kop. 20).

Za opłatą tę otrzymuje robotnica umieszczenie we wspólnej sypialni, gdzie znajdują się bardzo porządne, a nadewszystko czysto utrzymane łóżka, opał, światło i stół do roboty, oraz może gotować sobie na wspólnej kuchni. Jest to w istocie zakład, którego brak był prawdziwym społecznym uszczerbkiem, a któremu jak najszybszego rozwoju życzyć należy. Zarząd tego „Domu“—administrację Stowarzyszenia, prowadzenie biura oraz naukę szycia i haftu poruczono zakonnikom „Rodziny Maryi.“ Zgromadzenie to założone zostało przez ks. arcybiskupa Felińskiego, ztąd też nazwa „Felinek.“ Mają one w Galicyi w Łonnie koło Turki chyrowskiej zakład wychowawczy, prawdziwą ich chlubę stanowiący.

Tylko w szkole powtarzającej „Pracy kobiet“ uczą nauczycielki świeckie za małą opłatą półrocznie im przez Wydział towarzystwa wydawaną. Rok ubiegły zapisał w zakładzie powyższym uczenie 70. Czystego dochodu wykazało zestawienie kasowe blisko trzy tysiące. Zakonnicom wydział płaci, za ich pracę, pensją osobną.

Tak się przedstawia mniej więcej ta instytucja w fazie nowego swego przekształcenia i urzędzenia. Drugim stowarzyszeniem i najświeższym, do którego w połowie przyczyniły się kobiety, jest powstały z inicjatywy prezydenta miasta d-ra Małachowskiego „Związek rodzicielski.“

Celem jego: opiekowanie się młodzieżą w godzinach pozaszkolnych, chronienie jej od zepsucia, dostarczanie godziwej rozrywki i ćwiczeń fizycznych. Młodzież uboższa korzysta z urządzeń towarzystwa bezpłatnie, zamożna za opłatą. Chodzi tu głównie o młodzież pozbawioną w domu opieki. „Związek“ urządza w lecie stałe wycieczki higieniczne i naukowe, naukę wioślarstwa i pływania, a w zimie dodatkowy kurs konwersacji, śpiewy muzyki i t. d., utrzymuje czystelnie dla młodzieży i sale nauki, gdzie spokojnie może się dziatwa przygotować do lekcyj szkolnych, nieraz stołu nawet nie mająca wolnego do wypracowania zadań w domu.

Różne też warsztaty będą młodzież zatrudniały rzemiosłem i zapoznawały z różnymi rodzajami pracy. Głównie udział w założeniu brały kobiety—więc też istnieje stanowisko zastępczyni przewodniczącego w wydziale „Związku“ i sekretarki, a wedle statutu, przynajmniej trzecią część wydziału stanowić mają kobiety. Poprzednio już izraelitki zawiązały Stowarzyszenie opieki nad pracującymi dziewczętami i wspomagania kształcących się w zawodach praktycznych.

Powstawanie takich stowarzyszeń jest wszędzie bardzo pożądane, a w Galicyi, gdzie szkolnictwo tak wysoko już stanęło, zakłady podobne idąc ręką w rękę z kierunkiem całokształtu wychowania i oświaty spełniają nietylko swe poszczególne zadanie, lecz łączą się z ogólnym prądem społecznych usiłowań na drodze dorobkowej pracy ducha.

Janina S. Aleksota.

POGAWĘDKA.

Nie znać ubytku ludności w Warszawie, a przecie najmniej o kilka, jeżeli nieokilnastę tysięcy osób zmniejszyła się. Kto tylko mógł uciekł z jej murów rozpalonych, z ulic owianych kurzem i od nieporządków, w jakim obecnie jest pograżona. Parę dziesiątków nowych domów buduje się, parę setek strój swój odnawia—przez pierwszorzędną ulicę przejść trudno z powodu bruków i chodników pozrywanych, niewiadomo czy pod nogi masz patrzeć, czy wzrok do góry podnosić, by uniknąć niespodzianek niemiłych i mimowolnych zasadzek, czyhających na całość twojej osoby. Zaledwie umknąłeś od deszczu gliny i wapna, alści wpadasz w dół po wyrwanych kamieniach; ryzykujesz wreszcie iść środkiem ulicy, lecz duszę masz w piętach, bo z łatwością ofiarą stać się możesz jazdy kawalerskiej.—Pocieszasz się jednak myślą, że już otwarte zostało pogotowie ratunkowe, pomieszczone na Okólniku pod Nr. 9.

Pomimo tymczasowości pomieszczenia Pogotowia, wszystko się tam znajduje w należytych porządku i napełnia otuchą serca nasze, że ci, których spotkał wypadek nieprzewidziany wśród ulic ruchliwego miasta, nie będą czekali na zmiłowanie się pierwszego lepszego przechodnia, nie będą trząść się w niewygodnej doróżce, jeżdżąc od szpitala do szpitala—lecz w stosownej lektyce czy powozie wygodnym, pojedają do

miejsce, gdzie im na opatrunku lekarzy ani na doraźnej pomocy nie zbraknie.

Pogotowie ratunkowe funkcjonuje zaledwie od tygodnia, a już niemałą usługę oddało. Czytaliśmy w dziennikach o kilku wypadkach zaślabnięć nagłych i o natychmiastowym przybyciu wozów ratunkowych. Pogotowie zostaje zawiadomiane przez telefony, które, będąc specyjalną własnością sklepów i zakładów różnych, nie zawsze mogą służyć na użytek potrzebujących pomocy. — Pozwolenie korzystania z nich, zależy od dobrej woli posiadaczy—wyłoniła się więc kwestya, ażeby sklepy, apteki i redakcyje, obowiązane były, na wypadek jakiego nieszczęścia, udzielać pozwolenia korzystania z tych machin gadających czy przenoszących głos tylko. Mamy nadzieję, że nigdzie nie znajdziemy oporu—lecz na wypadek jakiegoś wybruku właściciela telefonu, niech propozycja powyższa się zamieni na prawo obowiązujące.

„Kuryer Codzienny“ zamieścił w łamach swoich zdania pism różnych, mówiące o wraźniu jakie wywarła szybkie nagromadzenia pieniędzy na pomnik Mickiewicza. Zebrawszy głosy te wszystkie, słyszymy podziwu czy zachwytu okrzyk jeden.

My nie należymy do tych, którzy w tej ofiarności ogółu widzą jakaś niezwykłość. Przeciwnie—dla nas ten objaw jest aż nadto naturalny, tak naturalny, że dziwiłobyśmy się, gdyby rzecz całkiem inaczej się miała. Obowiązku nie podnosimy nigdy do rzędu cnót—w tym zaś wypadku spełniony został tylko obowiązek.

Pomimo zamknięcia składek przez komitet, składki jeszcze nadpłynęły do pism różnych i przewyższyły zakreśloną cyfrę 200,000 rs.

Co z tą przewyżką robić? Smują się już niewyraźne projekta, o których słów parę wspomnieć nam wypada, by zapoznać z nimi czytelników moich, którzy w stosownej chwili może także głosu swojego użyć, jako stanowiący część tych, którzy grosz swój dali na cel ogólnonarodowy.

„Kuryer Codzienny“, po zamknięciu listy składek przez komitet, złożył komitetowi pozostającą resztę wpływów, robiąc następującą uwagę:

„Zdaniem naszym, należałoby przewyżkę tę trzymać razem z funduszem ogólnym jako kapitał rezerwowy, na wypadek, gdyby jakie nieprzewidziane okoliczności natury technicznej miały powiększyć koszt budowy pomnika. Jeżeli jednak koszt budowy nie przekroczyłby przeznaczonej sumy, wówczas należałoby przeznaczyć pozostały fundusz na inny cel użyteczności publicznej z imieniem Mickiewicza związany.“

„Gazeta Polska“ podziela to zdanie zupełnie. — Lecz—jeżeli fundusz zebrany, wystarczy na wzniesienie wspaniałego dzieła, jeżeli (o ile wiemy ze strony kompetentnej) koszt ogólny pomnika nie wyniesie nawet tych 200,000 rs.—co z resztą zrobić, na jaki cel użyteczności publicznej, związanej z imieniem Mickiewicza, przeznaczyć?

Celów nie zbraknie, skrzyżują się zdania przeróżne.—Lecz oto „Kuryer Warszawski“ myśl jedną już rzucił, myśl nadzwyczaj sympatyczną, uczciwą bardzo i bardzo rozumną, a jak nam się wydaje najbardziej odpowiadającą celowi połączonemu z imieniem Adama.—Kuryer przewyżki nie wręcza komitetowi, ale zaznacza, że „o ile ofiarodawcy w przeciągu miesiąca zwrotu nadesłanych składek—(+200,000) nie zażądata, uważać je będziemy jako sumy przeznaczone na uczczenie rocznicy Mickiewicza podług uznania redakcyi Kuryera i zatrzymamy je w swym depozycie do czasu użycia na cel odpowiedni, a w pierwszym rzędzie, o ile nastąpi po temu przychylna decyzja władzy, zaprojektowaną przez nas (patrz Nr. Nr. 58 i 75 kuryera z r. b.) fundacyę imienia Mickiewicza przy kasie Mianowskiego, na nagrody przyznawane w dniu 24 Grudnia, t. j. w rocznicę urodzin poety, za najwybitniejsze dzieła polskie z zakresu poezyi, historii literatury polskiej lub krytyki literackiej.“ Wielki popiera zdanie kuryera, oświadczając, że datki trzymać będzie u siebie przez dwa miesiące, inne pisma dzielą się w zdaniach, Słowo zaś ofiary nadesłane po zamknięciu składek, gdy do d. 15 Sierpnia nikt

się nie upomni o nie, wniesie do biura nędzy wyjątkowej.

Zdaje się nam, iż niema najmniejszej wątpliwości, że ani jeden nie znajdzie się, któryby, grosz na pomnik Mickiewicza przysławszy, zażądał zwrotu, z racyi, że suma 200,000 rs. zebrana już została. Jeżeli grosz ten na pomnik nie pójdzie, to pójdzie na cel inny, lecz zawsze z imieniem Mickiewicza związany. W tej sprawie, koniecznie porozumieć się potrzeba, by przewyżki, znajdujące się w redakcyach pism różnych, na różne nie rozstrzeliły się cele, lecz zbiegły się ku jednemu, stanowiąc poważną moźże sumę, dającą możność do zapoczątkowania takiej a takiej, uchwalonej już przez większość głosów, czynności. My jesteśmy zdania „Kuryera Warszawskiego.“ Rok rocznie przyznawana nagroda pracownikom literackim—(pierwszeństwo powinni mieć poeci, jako bracia Adamowi po pieśni)—w dniu urodzin wielkiego piewcy, będzie piękną pamiątką po nim, zarazem narodową nagrodą daną tym, którzy „zaklinają“ żywych, by nie tracili nadziei, wciąż przed narodem niosąc oświaty kaganiec.“

Zaiste!—za ciężkie nieraz bywa życie tych, którzy dłoń jedną na lutni, a drugą na sercu swojego społeczeństwa trzymać muszą. Nie dość, że im nie wolno dłoni tej odjąć, że muszą ciągle być w napięciu ducha, lecz muszą zarazem walczyć z codziennymi troskami życia, zdobywając w pocie czoła kawał powszedniego chleba. Czy będą oni tak szczęśliwi czy tak wielcy, by w dalekiej przyszłości pomników się doczekać—mniejsza o to! za życia jeszcze rzućmy im kwiatów parę, niech wiedzą, że słowa ich poruszyły żywiej tętno narodu, że naród ten ociera znój ich czoła, dodaje bodźca do pracy ciężkiej, nie przynoszącej żadnych materyalnych zysków, skromną ofiarą złożoną ku czci Adama. Głosujemy zatem z „Kuryerem Warszawskim“, nie widząc na razie celu podnioslejszego, z jakim związane być by mogło imię Mickiewicza.

Bądź co bądź staniemy wkrótce przed faktem dokonanym narodowej miłości, czci i holdu, przez ogół szeroki złożonych Mickiewiczowi. Czci i umiemy swych wielkich—przynależą to nam i rosyjskie gazety, a jednak... wiele pamiątek przeszłości pokrywa pył zapomnienia, zamienia się w gruzy, znika zupełnie z oblicza ziemi, a powoli i z pamięci ludzkiej. Korzystając z danej chwili podniosłego nastroju społeczeństwa, niech nam wolno będzie o tych pamiątkach powiedzieć słów kilka i zwrócić ku nim myśli wszystkich, którzy umieją cześć wielkich.

Przebieżmy, naprzykład Niemcy, zajdźmy na przykład do miast takich, jak Norymbergja, a zobaczymy dom niejednego odznaczony napisem, wskazującym, że tu urodził się, mieszkał lub umarł taki a taki mistrz pędzla, pióra lub dłuta. Podobnych oznak pamięci u nas nie znaleźć, a przecie i nasi wielcy rodzili się gdzieś, mieszkali i umierali.—Niedawno czytaliśmy krótką notatkę z podróży do Czarnolasu, Zwolenia i Sycyny skreśloną piórem p. Łopacińskiego w „Kuryerze Codziennym.“ Nie dość, że żadnych pamiątek po królu pieśni polskiej w rodzinnym Czarnolesiu nie zostało, lecz i grób Kochanowskiego w Zwoleniu, starym ozdobionym pomnikiem, w karygodnem zapomnieniu się znajduje.—Cóż mówić o miejscach innych, gdzie wypaśli, ludzie i losy kamienia na kamieniu nie zostały?

Zwiedzałem niedawno Knyszyn, w którym lubiał przemieszkiwać Zygmunt stary, gdzie umarł Zygmunt August. A byli to dwaj potentaci, których ślady zostawione na ziemi nie prędko zatrzeć się powinny. Tymczasem tak straszny duch zniszczenia powiał nad Knyszynem, że dziś już żaden z mieszkańców miasteczka, żaden z włóścian okolicznych, nie wskazuje ci, gdzie stał dworzec królewski, w którym jeden z największych królów doczesną wędrówkę porzucił.—Ha! o Zygmuntach nawet nie wiedzą, wskazują tylko dwie miejscowości dość odległe od siebie, jedną zwąc zamkiem, drugą górą zamkową.

Byliż dwa zamki?

Kto wie!

Rozpatrywany przez nas teren łatwo nasuwał myśli podobne.

Góra zamkowa, zwie się znaczna wyniosłość znajdująca się pod lasem, lecz śladów murów, najmniejszych śladów wałów zamkowych niema. Plug oracza spokojnie kraje tam pierś ziemi, nie uderzając nawet o zbite warstwy gruzu. Zkądże ta nazwa góry? czyż bez żadnej podstawy przywiązała się do niej tradycja senna?

Są jednak ślady, niezrozumiane jakies, jakies dziwne...

U stóp wzgórza, z którego po tarasach się może schodziło do ogrodów zamkowych, znajdują się regularne kwadraty wygłębień jakichś, dawniej obramowane kamieniem ciosowym, po dzień dobywanym przez ludność żydowską, stawiającą sobie z tych ciosów pomniki cmentarne. Tradycja mówi, że to niegdyś były królewskie sadzawki. Być może!—mówią coś podobnego i te wgłębienia i wąska struga zdroju, srebrną nicią przebiegająca rozpadliny.—I oto wszystko, co powiedzieć możemy o *górze zamkowej*.

Idźmy tedy do—*zamku*.

Tu, niedaleko nowożytnego dworu, widzimy jakąś ścianę muru dawnego, ślady zawałonych piwnic i studnię w niepamiętnych już latach, kopaną. To wszystko znajduje się w pewnym wgłębieniu i stanowiło mogło część zamkowego dziedzińca. Upewnia o tem ta studnia stara, w otoczeniu ścian stanowiących grubą podstawę jakiejś budowy. Wiadomem jest, że w dawnych zamczyskach znajdowały się podobne studnie we wnętrzu gmachu ukryte, by, podczas oblężeń naprzykład nieprzyjacielskich, załoga zamkowa nie była pozbawiona tego napoju. I oto jedyne są pozostałości po zamku... może Zygmunta!

Za silne snadź burze przeszły, gdy nawet pamięć ziała i zatarła ślad miejsca, gdzie umarł z Jagiellonów ostatni. Lecz to nie uwalnia nas od obowiązku pamięci. Pomnika nie postawimy, lecz jakąś płytę kamienną można wmurować w ścianę miejscowego kościoła, z pamiętkową datą śmierci nieszczęśliwego kochanka Barbary. Przypuśćmy, że cudzoziemiec jakiś do Knyszyna zboczył—i—nie mu tam nie powiedziało, że w mieście tem zmarł—Zygmunt August. A przecie to nie było byle jakie książątko, wiedział o nim cały świat ówczesny, a naród powinien pamiętać.

Jak zaginął ślad zamku Zygmunta w Knyszynie, tak,—przed pięciu laty dopiero, zniknął z widowni dom w Mereczu, pamiętny śmiercią Władysława IV-go. Zniknął—a! i przypomnieliśmy o nim.

Różne koleje ten dom przechodził. W wieku bieżącym należał do rodziny Puciatyckich, następnie kupili go żydzi miejscowi, wreszcie nabył go niejaki p. Kalniski i dom zburzył. Nie uratowaliśmy pamiętkowego domu, na którym ze stosownym napisem powinna się znajdować tablica—rozpatrzmyż się bacznie naokoło, czy coś się nie rozpada, nie pęka, czy czegoś podtrzymać, uratować nie można, a gdy już w pył się rozsypało, od niepamięci ochronić krótką datą, wyrzniętą na głazie rodzimym.

O ofiarności narodu mojego nie wątpię nigdy. Płynie ona szerokim korytem, a koryt tych dużo, bo potrzeb jest dużo.

Wiadomem jest czytelnikom moim, że cementowa statua Chrystusa, piękna rzeźba ś. p. Pruszyńskiego, odlaną zostanie z brązu i upiękniejszy fronton kościoła Świętego Krzyża. Składki płyną obficie, boć to Święty Krzyż, kościół pamięątek tak drogich sercu naszemu... Ale—gdzie będzie wykonany odlew wspaniałego posągu?

Wieść się rozeszła, że—w Rzymie.

Przeciwko temu protestuje Wojciech Gerson. Zamiar ten wydaje mu się—i słusznie—nie prawdopodobnym, ponieważ „dążyłby do bezpotrzebnego zmarnowania znacznej części uzbięganego na ten cel funduszu, a jednocześnie krzywdzi moralnie nasz artystyzm i rękodziela.“

Wojciech Gerson był i jest zdania, że nawet tak wielkie dzieło, jak pomnik Mickiewicza, odlane być powinno w Warszawie. Poważny rzeczoznawca nie upierałby się przy zdaniu swoim, gdyby nie fakty, które go przekonały, że zagra-

nicą nie robią wcale lepiej, a nawet, jak zobaczymy niżej—robią gorzej.

Dla uzasadnienia tych słów, Gerson zestawia odlew rzeźby Welońskiego wykonany w Rzymie z odlewami wykonanymi w Warszawie; porównywa więc „Prometeusza“ z odlewem N. Panny przed kościołem Karola Boromeusza roboty warszawskiej p. p. Łopieńskiego.

„Zdawałoby się—mówi—że w Rzymie nie tylko odlew, ale i cyzelowanie powinno być wzorowem i patyna piękna; tymczasem powierzchnia lśniaca odlewu „Prometeusza“ psuje wrażenie artystyczne całości, czyni ciało jakby spuchniętem i wzdęciami pokrytem. Przeciwnie, w odlewie N. Panny, zrobionym na podstawie modelu ś. p. Pruszyńskiego, widać wszystkie dotknięcia ręki artysty, najmniejszy załom draperji ma swój kształt i miękkość odpowiednią.“ A gdy tak jest: „zamiar dokonania zagranicą odlewu jakiegokolwiek bądź, a w tym razie statuy Chrystusa Pana, jest pomysłem fantastycznym, niewytrzymującym krytyki ani ze stanowiska estetycznego, ani etycznego, ani ekonomicznego!“

Pragnęlibyśmy szczerze, by głos ten nie był głosem wołającego na puszczy, byśmy się raz narzecie pozbyli zaślepienia i nieuzasadnionych zachwytów dla doskonałości zagranicznych, bo tem nietylko krzywdzimy siebie, wydając samym sobie świadectwo niedojrzałości, ale i zniechęcamy pracowników naszych, poświęcając wysiłki ich trudów urojonym znakomitościom zagranicznym. W jakież zresztą sposób wykształca się rękodziela nasze i artystyzm, gdy każdą rzecz większą zabierze Rzym lub Paryż?... Gdyby przynajmniej ten Rzym lub Paryż zrobił lepiej—ale nie, powtarza się jeno krzyk zbolełego serca Juliusza: „Powiem narodów byłaś i papuga!“ Rozpomnikowałem się może zanadto, lecz nie moja w tem wina, tylko tej chwili pomnikowej, która zajęła umysły i serca wszystkich.

Do bardzo pocieszających objawów doby bieżącej, jest wzmoczone czytelnictwo pomiędzy ludem i zajęcie się jego opowiadaniem z historii. Wiemy, jakie szalone wrażenie na umysł kmiecy zrobiły arcydzieła trylogii Sienkiewiczowskiej. Nie wiele go zajęła fabuła romansu lub dowcipy Zagłoby, lecz bohaterstwo Skrzetuskiego, a szczególnie męczęńska śmierć Podbięty. Do jednego z proboszczów na Kujawach raz wraz się ludek wcisnął, złotówki to dwuzłotówki dając, a wszystkie te ofiary szły na mszę świętą za duszę ś. p. Podbięty z Mysich-Kiszek. Obecnie czasopismo ludowe „Zorza“ zwiększyło liczbę swych prenumeratorów, z tego powodu jedynie, że zaczęło drukować powieść J. I. Kraszewskiego p. n. „Kordecki.“—Trudno jest zbadać smak ludu, lecz raz zbadawszy, korzystają potrzeba z tego odkrycia, a dobroczynne światło nauki coraz szerszem roztaczać się będzie kołem, coraz jaśniej świecić, coraz cieplej ogrzewać.

Doskonałą też myśl powzięła „Gazeta Świąteczna“, drukując w przedostatnim numerze swoim balladę Mickiewicza „Trzech Budrysów“ z odpowiedniami objaśnieniami. Najlepszy to jest sposób spopularyzowania dzieł wieszczów i zachęcenia czytelników siermiężnych do zapoznania się z utworami Mickiewicza. Taka ballada jak „Trzech Budrysów“ poruszy usta do śmiechu, taka jak „Powrót Taty“ złoży ręce do modlitwy, w „Liliach“, przerazi groza zbrodni i straszna za występki kara, w „Renegacie“ dojrzą smutny objaw zaprzaństwa. Oczywiście, że tylko część pierwsza Renegata drukowana być powinna i ze stosownymi podana objaśnieniami.

Zebrałem wszystko, co było można najważniejszego z bruku warszawskiego zebrać, zapomniałem chyba wspomnieć o tradycyjnych ogródkach śródmieścia i za miastem, gdzie to się „świr—świr za kominem“ odzywa, a kapeli w białych sukmanach odpowiadają z przeciwka dźwięki węgierskiego czardasza.

Nie znam przyczyny, lecz ogródki nasze w roku bieżącym inaczej jakoś wyglądają. Nasamprzód—jest ich mniej o połowę i szukać ich gdzieś potrzeba, a gdy się znajdzie, to muzyka

gra ospale, w antraktach ziewając. Przed paru laty, przed rokiem nawet, nie przeszedłbyś ulicą nie zasłyszawszy skocznych dźwięków muzyczki; kilka takich śpiewających ogródków i przy alejach Ujazdowskich było, teraz w alejach głucho, suną się tylko pojazdy spacerowiczów, zbitą masą krzyżuje się tłum na chodnikach, na werandzie Wersalu lub w Sans-Saussy (Patelnia dawna) siedzą wystrojone damy i milczący panowie, ci mazagran przez słomkę pociągają, tamte zaś ochładzają się malinowymi lodami. W jednych tylko „Krzaczkach“ pana Dziegielewskiego, przy ulicy Marszałkowskiej, tną od ucha mazura mazurzy z Nalewki, lecz dobrze im jest i słuchaczom, grzmia brawa rzęsiste a napój gambrynusowy złotą strugą płynie. Gdzie się reszta podziela tych ogródków—nie wiem; może za rogatki się wyniosła, ale tam rzadkim bywam gościem więc nie o zarogatkowej gęźbie powiedzieć nie umiem.

Zeszłego tygodnia mieliśmy zjazd organistów w Warszawie. Przybyło ich przeszło stu na wezwanie redakcyi „Śpiewu kościelnego“ t. j. o 30 więcej, niż w roku zeszłym. Nie z pobliskich stron to tylko byli goście, bo z Włodzimierza i Wiatki dalekiej, z Samary, Taurydy i Teodozyi przybyli.

Nie jeden z nich nie miał środków na odbycie tak dalekiej podróży, lecz pospieszyli im z pomocą proboszczowie, pragnąc przyczynić się do przeprowadzenia reformy „śpiewu kościelnego“, tak energicznie popieranej przez redakcyę „Śpiewu.“

W piątek d. 16-go Lipca odbyło się nabożeństwo dziękczynne, odprawione ku czci Najświętszej Maryi Panny Szkaplerznej, zamówione przez organistów, którzy dwutygodniowy kurs śpiewów kościelnych ukończyli. Solenną wotywę odprawił ks. Aleksandrowicz z Wąsowa a chór złożony ze stu osób wykonał części stałe mszy Mitterera de S. *Martyribus*, części zaś zmienne chorałem gregoryańskim z gradułu rzymskiego. Gdy msza się skończyła a celebrujący błogosławieństwa udzielił wiernym, wykonano hymn *Te Deum*; prastara zaś pieśń „Kto się w opiekę“ podniesiona przez głosów sto, wspaniale czyniła wrażenie.

??

NA IASCE

POWIEŚĆ

przez

M. N. Sas - Junoszę.

(Dokończenie).

Wieczór ten Wielkiej Soboty pozostał na długo miłym wspomnieniem nie tylko dla Romana i Janiny, ale dla wszystkich, którzy w nim udział brali.

Hrabina przybyła z Żarnek wraz z Kamillą, Stanisławem i małym ich synkiem Stasiem. Janina zastała także, wróciwszy z cieplarni z Romanem, księcia i Władysława, wiernych towarzyszy Romana, którzy z nim razem przybyli tego rana, w tajemnicy przed nią przyjęci przez pana Bronimirskiego, który unyślnie wyznaczył Janinie zajęcie w oddalonej części pałacu, aby się nie dowiedziała przed czasem, jaka niespodzianka ją czeka.

Wszyscy z głośnym okrzykiem radości powitali młodą parę, przyczem Janina się dowiedziała, że wszyscy, nawet hrabina Żarnowiecka, należeli do spisku przeciw niej.

— Winszuję! — rzekła do Romana niby oburzona. — Jeszcze jeden piękny rys charakteru człowieka dzikiego z głębi Afryki!

— Ba!—zawołał Roman z tryumfem. — Jeszcze to nie ostatni!... Czy uwierzysz, Ninetko,—taką nazwę spieszczoną wymyślił dla niej,—czy uwierzysz, że ten niegodny człowiek utrzymywał korespondencję *en règle* z panną Kręcką? A mój ojciec? siedząc niby spokojnie w Wasilcach, spiskował na wszystkie strony... Och, tak, biedactwo! otoczona jesteś wrogami!

Oczy Janiny łzami zabłysły.

— Czem się wam wszystkim odwzięczę za tyle dobroci...—szepnęła.

Hrabina nadspodziewanie dobrze przyjęła Janinę i patrzyła na nią bardzo życzliwie, puszczając w niepamięć dawną niechęć i urazy.

— *Elle est tout à fait charmante!*—rzekła do panny Olimpii, czując się w obowiązku okazać się uprzejmą dla opiekunki sieroty. — Nie wiem co pani z nią zrobiła, ale wyznaję szczerze, że powinszować... taką, jak jest dziś, nigdy jeszcze nie była.

— Nie nie zrobiłam, pani hrabino!—odrzekła z łagodnym wyrazem Olimpia. — Taką jaką ją pani widzi, jest chyba dlatego, że jest zupełnie szczęśliwa, a to nie moja zasługa tylko Pan Bóg dał jej to szczęście.

— Kocha... — dodała Kamilla, goniąc oczyma swego Stasia—i jest kochaną!

Książę, siedzący obok tych pań uśmiechnął się.

— Szczęście jest na świecie,—dorzucił,—miał się ci co je za mrzonkę uważają. Cała rzecz polega w tem, żeby go nie szukać daleko i nie marzyć o wielkiem... a przedewszystkiem—wywalczyć!

Władysław, stojący obok księcia, pokręcił się i wyszedł z pokoju. Zauważył to księżę i panna Olimpia, która nie mogła się powstrzymać żeby nie wyrzec z westchnieniem:

— Biedny Władzio... jeszcze cierpi!

— To nie!—uspakajał księżę,—niech się pani nie martwi. Było tak dobrze przez cały czas, że sam myślałem, że zapomniał... To tylko chwilowe.

Tak! gdy wkrótce potem księżę udał się za nim, zastał Władysława spokojnie opartego w oknie pokoju, który mu służył za mieszkanie, z papierosem w ustach.

— Czemu uciekłeś od nas?—zapytał księżę.

— Czy moja nieobecność zauważoną została?—odrzekł z niejaką goryczą.

— Chmury zasnuły jasny horyzont... — rzekł księżę, spoglądając w okno, niby do pogody czyniąc aluzję. — Ale takie chmury nie grożą deszczem ni burzą... — ciągnął dalej myśl swoją,—nastaną dni jasne, pogodne, wesołe... Tak zawsze na świecie bywa! Wszystko przemija. Wyglądza się, zapomina...

Władysław zbliżył się i uściśnął dłoń księcia. Zrozumieli się w milczeniu.

Gdy za chwilę zaproszono ich na postną wprawdzie, ale wykwinną wieczerzę, na obliczu Władysława jaśniała pogoda, choć miał przed sobą Janinę, ładniejszą niż kiedykolwiek.

Rzeczywiście! jaka ona była śliczna, jaka ożywiona, aż niepodobna do tej dawnej! swoboda, naturalność, prostota, tryskała w każdym jej kroku, w każdej czynności; używała swego szczęścia jawnie, otwarcie a ono przekształcało całą jej istotę.

Pan Bronimirski, siedząc koło pani Żarnowieckiej przy wieczerzy, prosił ją, by została już aż do ślubu Romana, który odbędzie się wkrótce—za tydzień może—bo indult już wyrobiony.

— Poczekamy tylko tak długo, dopóki nie zjadą państwo doktorstwo Umińscy, — dodał. — Janiu? jak długo trzeba czekać?

Janina patrzyła na pana Bronimirskiego wielkimi oczyma, zdziwiona. Wszyscy śmiać się zaczęli z tego zadziwienia.

— Biedna istota!—zawołał Roman z ubolewaniem,—dostała się między ludzi, którzy bez najmniejszego względu nią rozporządzają!

— Ale rzeczywiście...—zaczęła Janina.

— Nie zabierajmy głosu w tej sprawie! — przerwał Roman.—Co do mnie—poddaję się woli mego ojca z całym posłuszeństwem!—dokończył z uśmiechem.

— Wypada i pani uczynić tak samo, panno Janino!—wtrącił księżę z powagą. — To darmo! trzeba się poddać przymusowi, swoją drogą, może mu pani odplacić się za to później i mam nadzieję, że pani nie zawiedzie moich nadziei?

Janina pogroziła Romanowi.

— No, no, mój panie! porachujemy się! — rzekła.

— Tak to lubię!—zawołał księżę, — przynajmniej wiesz Romanie czego się masz spodziewać! Będiesz siedział pod pantoflem, aż miło!

— Biedny Juliusz! — rzekł nagle Walicki. — Pani go pamięta, panno Janino? gdyby wiedział!...

— Czy pamiętam? ależ naturalnie!—zawołała Janina.—Cóż się z nim dzieje?

— Mieszka osobno, na folwarku należącym niby do niego i niby gospodaruje... Wszystko to niby, bo wydzielonej urzędowo własności nie posiada, a o gospodarstwie pojęcia niema, siedzi tam z nim poczciwy człowiek, dawny oficyalista, który go pilnuje. Juliusz nigdzie nie bywa i ciągle w pani się kocha. Z panią Adelą tak się pokłócił, że w pasyę wpada jak ją widzi.

— Biedny!—westchnęła Janina. — Prawda?—dodała pochylając się do Romana,—my go tutaj kiedyś zaprosimy... dobrze?

— Zapewne!—odrzekł Roman z udaniem obrzuceniem,—będę tu zapraszał dawnych konkurentów mojej żony, aby mi ją bałamucili!...

— A pani Natalia?—spytała hrabina. — Czy nie wiecie nic o pani Natalii? Od czasu ostatniej jej bytności w Żarnkach nic o niej nie słyszałam.

— Pani Natalia?—rzekł Walicki. — Będąc tej zimy w Wiedniu, dużo o niej słyszałem. Podobno przez dwa lata nie pokazywała się nigdzie, mówiono, że ma zamiar wstąpić do klasztoru, że próbuje powołania... Tej zimy ukazała się na nowo, *plus belle que jamais* i tak samo jak dawniej królująca w towarzystwie. Mówiono mi, że stara się o nią jakiś gospodar Wołowski magnat wielki i kilku innych. Nie widziałem jej, ale mówią, że wygląda wspaniale i nosi zdumiewająco bogate herby, o których prawi cały Wiedeń.

— Że też jej się nie znudzi takie bezcelowe życie!—rzekła Kamilla, która teraz już poznała, że zabawa nie jest jedynym celem w życiu.

— Zmarnuje się; a szkoda jej! *Une si belle personne!*—wtrąciła hrabina.

— Już jest zmarnowana,—rzekł księżę,—była nią prawie od początku życia, jak każda kobieta, która żyje tylko dla swojej własnej osoby. Biedne te panie! zapominają—a raczej nie chcą myśleć, że starość nadejść musi! Gdy własna ich, ukochana postać pochyli się pod brzemieniem lat, włosy szron pobieli a cudowna twarz pokryje się zmarszczkami, staną się odrazu dla siebie samych, tak samo wstrętne, jak dawniej ukochane były... Gdy zamiast uwielbienia, usta obcych i oczy wyrażać zaczęną obojętność lub politowanie, a w sercu przepelnionem samolubstwem, nie zadrgają niepielegnowane z raczysu uczucia, któreby umysł od smutnej rzeczywistości odciążać mogły—ach, biedne one!...

— Prawda, że biedne! — potwierdziła Janina ze współczuciem. — Ale co do pani Wieluńskiej, daleko jej jeszcze do tego! Młoda jeszcze i piękna, wyjdzie z pewnością za mąż.

— Dziki człowiek nie ma jej na sumieniu? — szepnęła ciszej do Romana.

— O, tak! — westchnął niby ze skruchą, — mam... i pójde... pojedę do Wiednia, przeprosić... życie swoje ofiarować...

— Życie to nie jest już pana własnością! — oświadczyła Janina z powagą.—Swoją drogą, — dodała, — muszę wiedzieć wszystko w tej sprawie...

— Natychmiast!—zawołał z żywością.

Ale wstawano już od stołu.

W salonie, młoda para usunęła się we framugę okna na rozmowę bez końca. Pan Bronimirski prosił hrabinę by przy nim usiadła i rzekł:

— Jeżeli samotność zacieży ci kiedy w Żarnkach, kuzynko, może zechcesz teraz często odwiedzać Wasilce, gdzie mam nadzieję dni smutku nie wrócać tak prędko.

Pani Żarnowiecka podziękowała kuzynowi z większą niż kiedy uprzejmością, przyjmując zaproszenie.

— Tak!—ciągnął dalej stary, w zamyśleniu.— Na smutki i gorycze życia jest pewne i najskuteczniejsze lekarstwo: porozumienie istot bliskich sobie, wspólna ufność i miłość... Miłość! w każdej formie, czy w uczuciu rodziców do dzieci, męża do żony i przeciwnie, czy względem szerszego koła w społeczeństwie, jest zawsze dźwignią i rozweseleniem. Brak serca, to najstraszniejsza plaga jaką Bóg ukarać może człowieka, czyniąc go sobie i ludziom niemilnym...

— Niepoprawny romantyku!—rzekła hrabina z dziwną u niej wyrozumiałością. — Nie mogąc już sam tego sportu uprawiać, postarałeś się kuzynie mieć go przynajmniej ciągle przed oczyma!...

— A czyż to nie pocieszający i nie uspakajający widok? Patrz pani na własną córkę, jakiej korzystnej zmiany miłość w niej dokonała! A Roman i Janina?... Roman był bardzo bliskim zmarnowania, a teraz, patrz! Wierzą mi kuzynko, dzieci tych ludzi będą mogły być wzorem dla społeczeństwa, bo wychowane w miłości, która ich otaczać będzie jak pancernem od samej kolebki—i one później tak samo siał będą miłość w około siebie, która im da siłę, wytrwałość, spokój i szczęście....

Pani Żarnowiecka nic nie odrzekła; nie mogła kapitulować bez walki, a walczyć nie miała ochoty, bo nie było już w jej sercu przekonania... Tak! zadrgało tam coś dziwnie w tem starem, zamarłem sercu... tak! czuła teraz wybornie, że jeżeli życie ma być znośnym, trzeba kochać i być kochaną... Chwałebną jest siłą ducha i przekonania, chwalebna wytrwałość zasad, ale wtedy tylko gdy idzie w parze z miłością, zdolną do zaparcia siebie,—do poświęcenia...

KONIEC.

PRZYRODA W POEZJI

przez

ANTONIEGO PILECKIEGO.

(Pracę tę w streszczeniu wygłosił autor w d. 25 i 28 Marca r. b. w Sali Muzeum Przemysłu i Handlu, jako odczyt publiczny na rzecz ubogich, zostających pod opieką Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności.)

(Dalszy ciąg.)

Epopeja Tassa: „Jerozolima wyzwolona“ przenosi nas również od czasu do czasu wraz z bohaterami utworu na łono przyrody, zazwyczaj fantastycznej, niekiedy moc czarodziejstwa mającej, lecz mimo to w wielu obrazach swych oddechającej żywą wonią kwiatów i lśniącą barwnym bogactwem zieleni. Na wzór Ariosta, Tasso na wyspie czarodziejkiej, na szczycie góry odtwarza nam bujną naturę pierwotną, a fantastyczną, gdzie wieczne zefiry wieją wozne, gdzie dzień zawsze pogodny i bezpieczny, gdzie nigdy mgła nie gasi jasných promieni słońca, gdzie:

„Cień drzewa zawždy wydawają wieczny
„I zioła zapach i kwiecie purpury.“

(Przekład Piotra Kochanowskiego.)

W krainie tej uroczej, równie jak na wyspie Ariosta, włada moc czarodziejka w postaci potworów, lasów i zamków zaczarowanych i t. p.

W stanzach swoich Tasso maluje nam piękne ogrody, wśród których przyroda zachwyca bogactwem krasą naturalną i ręką ludzką stworzo-

nej. Poeta ma w swej dłoni twórczej pędzel malarza, pod którym powstają wizerunki i krajobrazy, pełne barw ciepłych i żywych. W innych znów pieśniach kreśli nam Tasso uroczyste wizerunki przyrody sielskiej, pełne głębokiego nastroju, z duszy śpiewaczej płynącego.

Dla opisu walk i innych zdarzeń życiowych autor „Jerozolimy wyzwolonej“ przywołuje często na pomoc obrazy natury: oceany, wichry, burze; kładzie barwy lilii na lica umierającej bohaterki. Budzi też współczucie w przyrodzie dla swych bohaterów, przywołując, na przykład, na jasne niebo chmury czarne, aby się litowały nad zgonem Kloryndy.

Niekiedy przyroda w pieśni tego poety przemawia wyrazem prawdziwie poetycznego symbolu. Przypomnijmy sobie, na przykład, tę rolę, która w głuszy rodzinnej rozkwitając, we wczesnej porze swego rozwoju, kryje wstydlive swe kwiecie i staje się tem piękniejszą, im mniej wdzięki jej są widzialne; później zaś, w pełni urody dojrzałej, traci już ten nieuchwytny, dziwnie pociągający czar pierwszej młodości.

Cobądź jednak można powiedzieć na pochwałę pieśni o przyrodzie poetów Epoki Odrodzenia, niepodobna jednak nie zaznaczyć, że wizerunkom jej brak zarysów rzeczywistych, brak szerokiej kompozycji krajobrazów; nosi ona na sobie najwięcej barw fantastycznych, wymarzone, niekiedy wprost nienaturalnych. Przyroda w pieśni tych poetów jest tak wyidealizowaną, jak bohaterowie — ludzie. To jednak z drugiej strony przyznać należy, że poeci Epoki Odrodzenia, weszli nanowo do tej świątyni życia wewnętrznego człowieka, którą od czasów zamarcia poezji klasycznej, duch piewcy odwieczać przestał, a szukając odbicia drgnień i wzruszeń subtelnych tego ducha w przyrodzie, znaleźli w niej niewyczerpane źródło piękna w obrazach, odgłosach, woniach, światłach i barwach, niekiedy już nawet w kompozycji krajobrazów, a znalazłszy to piękno, dali mu ukochanie serc swoich. Serca swe przyłożyli do tętna ziemi, wysłuchali jej szmerów tajemniczych, drgających życiem jej pulsów.

Szczupły rozmiar pracy niniejszej nie pozwala mi scharakteryzować wpływu, który wywarła na innych, mniej wybitnych piewców Epoki Odrodzenia i doby nieco późniejszej poezji przyrody Hellenizmu i Romy, nie pozwala mi śledzić za naśladowcami „Georgik“ Wergiljusza, nie dozwoliła też dobadywać w skreślonej poprzednio charakterystyce największych poetów ówczesnych, jak również i u innych, drugorzędnych śpiewaków, wpływu Teokryta, Kallimacha, Longinusa. Dla tej samej przyczyny nie mogę podnieść liry piewców późniejszych, na której rozbrzmiewał odgłos pieśni Petrarcki, lub Tassa, w tonach nieco odmiennych, często nawet dość oryginalnych, a zawsze już bliższych nowszemu odczuciu piękna w przyrodzie. Przebiegając szybko dzieje rozwoju odczucia poetycznego natury, mogę zatrzymać się tylko na najważniejszych posterunkach. Daremnie więc nieći duszę mą uroczą „Arkadya“ Sannazary, pieśń całej plejady liryków, którzy opiewali miłość, wdzięki kobiet i czary przyrody, a nawet ten poeta, który umiał rzucać na groby wspomnień, kwiaty uroczyste. Imię jego Wiktor Colonna, a pieśń zaczyna się od słów:“

„Quando mira la terra ornate et bella
„Di mille vaghi et odorata fiori...“

(Kiedy widzę ziemię ozdobioną i piękną tysiącem kwiecia barwnego i wonnego)...“

*

*

*

Nim przejdziemy do poezji nowszej, należy nam przenieść się na półwysep Iberyjski i sięgnąć nieco w przeszłość. W krainie tej czarownej od czasu wkroczenia Maurów walka krzyża z księżycem, trwająca wieków kilka, stworzyła rycerstwo, dzieje którego owiane są niezrównanym czarem poezji. W uroczy wieniec tej

poezji wpleciono wonne kwiecie miłości, sławy i honoru. Językiem kwiatów przemawiali do siebie kochankowie. Plemię Maurów przyniosło z sobą pod jasne niebo Hiszpanii z kolebki rodu ludzkiego, z Azji, pieśń swą dawniej ojezyzny, a pieśń tę wykołysała bujna wyobraźnia Wschodu, splomieniło gorące jego słońce. Zabrzmiała ta pieśń wśród pałaców, lśniących przepychem i wspaniałych meczetów, wśród ogrodów rozkosznych, a wtórował jej szmer fontan marmurowych, orzeźwiających spalone czoła synów południa.

Poszło to czarujące technienie poezji po całym półwyspie Iberyjskim, a z niego dalej po całej Europie. W niej to ma swój początek poezja trubadurów, minnesingerów; z niej też wzięła jedną część swego ducha pieśń poetów w Epoce Odrodzenia.

Portugalia dała nam Kamoensa. Poeta ten żył już w epoce wielkich podróży, odkryć krain nowych, ukazujących zdumionemu oku Europejczyka nieznaną dotąd czary przyrody. Nie umieli odtworzyć ich podróżnicy, nieobdarzeni subtelniejszem odczuciem poetycznym. Jeden tylko Kolumb w dzienniku swym zdołał wyrazić spokojny, dobroduszny, naiwny zachwyt na widok nieznaną dotąd, a bogatych bujną i przepiękną roślinnością krajów. Dopiero pierwszy Kamoens spojrzął na te nowe uroki natury okiem prawdziwego poety. Rozległ się wielki krzyk zachwytu w pieśni śpiewaka, który z orężem w ręku dumał u stóp Atlasu, marzył wśród szumu wiatrów i szmeru fal morskich na brzegach Indyi i ziemi mandarynów. Owocem tych dum głębokich i marzeń, ogrzanych ciepłem serca, była szeroka, płomienna i rozbrzmiewająca w tonach różnorodnych pieśń przyrody, pełna nowych, nieznaną dotąd zjawisk i obrazów. To, czego inni dojrzeć nie potrafili, dojrzało oko poety. Więc, czy wśród nawałnic burzy morskiej, czy w cichą noc księżycową, z piersi śpiewaczej płyną tony, które uświadamiają i pogłębiają dobroduszny zachwyt zwykłych podróżników, dają temu zachwytowi wyraz poetyczny, z głębin ducha ludzkiego dobyty. Ukazują się w oddali zachwyconym oczom poety wierzchołki gór, jakby powietrzna odzież obłoków; światło jasnego poranku opromienia mu wyżyny Indyi, po których spływają z szumem święte wody Gangesu. A na falach morskich poeta widzi „ogień, który rym jasność żywa nagle wyblyska wśród ciemnej burzy,“ ogląda i opisuje ze wspaniałą plastycznością trąbę morską, która „ssie słup wody z oceanu łona...“

Niekiedy w widokach przyrody dusza poety ogląda obrazy mitologii klasycznej, a wtedy w wyobraźni piewce Aurora daje kwiatom odcienia barw niepochwytne, a Zefir i Flora znacznają delikatnymi farbami miłości krasę fijołków, księżyc spogląda w duszę poety obliczem Dyany, a na widok piękności tej bogini powietrze i niebo drżą od pragnień namiętnych i zakochany chorowód gwiazd obstepuje ją nąkół; w innym znowu miejscu w promieniach wschodzącego słońca córka Tytana ukazuje czoło swoje, gorejące płomieniem czarownym.

W uroczej krainie Hiszpanii, nawet wśród mroków Inkwizycji, surowa myśl zakonnika pieści się wdziękami przyrody, uwielbiając je jako dzieło Stwórcy, pogrąża się w modlitwie, przepelnionej śpiewem ptasząt i wonią kwiatów. Prócz św. Franciszka z Asyżu, o którym wspominałem już wyżej, mówiąc o Ojcach kościoła, prócz ucznia jego Bonawentury i wielu innych, należy się kilka słów gorących prawdziwie natężonemu i serdecznemu śpiewakowi przyrody Ludwikowi de Leon (Louis de Leon), zakonnikowi hiszpańskiemu, który spoglądał w oblicze natury okiem mistyka i marzyciela, na piękno jej był subtelnie wrażliwym i żywo się niem rozkoszował. A patrząc na niebo, na obłoki lotne, duchem wznosił się do krain, gdzie słońce nigdy nie zachodzi, gdzie żadne chmury blasków jego nie zasłaniają... Zjawiska przyrody są dla tego poety symbolem życia wyższego, duchowego, boskiego, co nie przeszkadza mu jednak czuć serdeczne, idylliczne uczucie dla pól, łąk i źródeł, które wita głosem przyjaciela.

Wogóle jednak surowy fanatyzm katolicyzmu zdobywa się więcej na alegoryczne, niż na bezpośrednio - nastrojowe odtworzenie przyrody. U Kalderona i współczesnych mu poetów, jak słusznie mówi Tieck, w romansach i canzonach widzimy oslepiająco piękne opisy morza, gór, sadów i dolin lesistych, lecz w opisach tych zawsze prawie dostrzegamy alegorię; spoczywa na nich jakieś sztuczne światło, które nie daje nam odczuć swobodnego powietrza przyrody, ujrzeć prawdziwe góry, prawdziwe cienie dolin.“ Pomimo to nie można odmówić poezji Kalderona zaczątków tego odczucia przyrody, które daje nam piśmiennictwo nowsze. Dusza ludzka spogląda w nich na świat otaczający okiem swego życia wewnętrznego.

(Dalszy ciąg nastąpi).

RUCH MUZYCZNY.

Pierwsze miejsce w niniejszym sprawozdaniu muzycznym należy się z wieku i urzędu popisowi uczniów i uczenic warszawskiego Instytutu muzycznego, który dorocznym zwyczajem zakończył rok szkolny w tej instytucji. Popis ten wywołał obszerną dyskusję w prasie i w szerokiej kołach muzycznych. Jedni pragnęliby w popisach tych widzieć rodzaj koncertów z współudziałem najlepszych, a więc kończących kursa wychowawców i wychowanic Instytutu, drudzy, przywiązując mniej wagi do strony artystycznej, główny nacisk położycby chcieli na stronę pedagogiczną.

Zdaniem ich w popisach tych brać powinni udział uczniowie wszystkich kursów, choćby nawet produkcy ich nie dorastały do zwykłej miary artystycznej, ażeby tym sposobem osobom, interesującym się instytucją, dać możność przekonania się w drodze porównawczej, o ile ona odpowiada wytkniętemu przez ustawę kierunkowi pedagogicznemu.

Nie przesądżając, po czyjej stronie leży słuszność, stwierdzić tylko możemy z zadowoleniem, że dyskusja ta jest objawem pocieszającym, świadczy bowiem, że szerokim warstwom społeczeństwa dobro tej instytucji leży na sercu i że odczuwają oni potrzebę zaprowadzenia w niej pewnych zmian ku lepszemu.

Tegoroczny popis był zwyczajnym popisem, jakich tyle słyszeliśmy rok rocznie; jedyną różnicą polegała może na tem, że nie wszystkie klasy brały w nim udział. Tak np. program nie zawierał popisu klasy może najważniejszej, a mianowicie klasy kompozycji. Stało się to prawdopodobnie z braku uzdolnionych kandydatów w tej dziedzinie. Nie słyszeliśmy również popisu klasy klarnetu, wiolonczelli i t. d., co do których wymagania nie są tak wvsokie, żeby nie można było pochwalić się jednym choćby wychowanicem.

Z popisów klas poszczególnych najdotadniej wypadł popis klasy śpiewu solowego, prowadzonej od dwóch lat przez prof. Nouvelli'ego. Wychowawcy tej klasy w liczbie trzech popisowali się po raz pierwszy i popisali się bardzo dobrze.

W liczbie popisujących się na pierwszym miejscu postawić musimy dawną uczennicę prof. Horbowskię pannę Maryę Kamińską, stypendystkę Towarzystwa muzycznego, jako wychowanicę bardzo zdolną i wielkie budzącą nadzieje. Wykwintny smak artystyczny, umiejętność frazowanie, prawidłowy oddech, dykcyja wyraźna, oto przymioty, które jaknajlepiej wrożyć się zdają o karierze artystycznej młodej śpiewaczki. Panna Kamińska wykonała arję „Inflamatus“ z towarzyszeniem chóru mieszanego ze „Stabat Mater“ Rossini'ego. Wykonanie nacechowane artyzmem zjednało śpiewaczce poklask ogólny.

Panna Zweifel, długoletnia uczennica prof. Nouvelli'ego wykonała trudną aryę z „Purytanów.“ W interpretacji jej znać również zalety dobrej szkoły te same, jakie mieliśmy sposobność wykazać już poprzednio. Dodać tu winniśmy tylko, że śpiewaczka ma starannie opracowaną technikę, zwłaszcza w staccatach i gamach dyatonicznych i chromatycznych. Głos p. Zweifel nie jest zbyt rozległy, ale bardzo ładny, giętki i dźwięczny. Jeżeli dodamy do tych przymiotów wielki zasób inteligencji muzycznej, to przyznać musimy, że mamy tu do czynienia z wybitnym talentem wokalnym.

Najmniej fortunnie wypadł popis p. Joffego, który po roku nauki odspiewał aryę i strettę z „Trubadura.“ Popisem tym wykazał śpiewak, że, aczkolwiek ma dość duży głos tenorowy, to jednak materiał ten potrzebuje jeszcze długich, bardzo długich studyów, ażeby mógł pozbyć się wielu i wielkich wad i że najwłaściwiej byłoby, gdyby się p. Joffe do tego czasu wstrzymał od udziału w popisach publicznych.

Prof. Michałowski złożył i tegorocznym popisem dowód wysokich zalet pedagogicznych. Drugoletni uczeń jego klasy p. Wolfsohn odegraniem słynnego „Koncertstücku“ Webera wykazał, że posiada technikę ogromną, spokój, nadzwyczaj rozwinięte poczucie rytmiki i stylu, temperament, spory zasób szczerzego uczucia i pewność siebie zdumiewającą w tak młodym pianście. Wszystkie te zalety pozwolą wróżyć p. Wolfsohnowi najświetniejszą przyszłość artystyczną, byleby tylko nieprzyjemne okoliczności nie stanęły na przeszkodzie należytemu rozwojowi wybitnego tego talentu.

W grze panny Kowalskiej, drugiej uczennicy klasy prof. Michałowskiego widnieją wszystkie zalety dobrej szkoły, a więc ładna i dość rozwinięta technika, poprawne frazowanie i wyrobione poczucie rytmiki i stylu. Poza tem brak grze p. Kowalskiej cech jakiegś indywidualności głębszej.

Klasa skrzypiec prof. Barcewicza miała jednego przedstawiciela w p. Ozimińskim, który poprawnie odegrał dwie ostatnie części koncertu Wieniawskiego, wykazując wyrobioną już do pewnego stopnia technikę i dużo poczucia muzycznego.

Prof. Federhaus, kierownik klasy fletu przedstawił jednego ucznia w osobie p. Pewznera, który odegrał następującą liczną trudności techniczne koncertstück Terschaka.

P. Kłos, uczeń klasy organowej prof. Kałużyńskiego złożył poprawnym i artystycznym wykonaniem fantazyi koncertowej Freyera pochlebne świadectwo nie tylko swoim zdolnościom, lecz i swemu kierownikowi artystycznemu.

Z klas muzyki zbiorowej profesorów Stattlera i Noskowskiego najlepiej wypadły popisy chórowe i orkiestrowe. Chór odspiewał z doskonałym cieniowaniem „Powitanie wiosny“ Godego, orkiestra odegrała sprawnie pod batutą prof. Noskowskiego dwie części „Suity północnej“ Hamericka, a nadto akompaniowała poprawnie kilku solistom.

W klasie muzyki pokojowej prof. Barcewicza odegrali panny Dawidson, Jurkiewicz i Gnoińska, oraz p.p. Ulbrych i Ryłło kwintet Sait-Saënsa.

Popis zakończył się odegraniem na waltorniach serenady Abta i pieśni Mendelsohna „Pożegnanie lasu.“ Poprawność w wykonaniu świadczy chlubnie o kierowniku tej klasy prof. Malinowskim.

Popis uzupełniony został odczytaniem sprawozdania przez inspektora Instytutu p. Roguskiego, z którego dowiedzieliśmy się że w r. b. liczył Instytut 516 uczniów i uczenie.

Śpiewacy lwowscy goszczący w cyrku na Ordynackim zyskali wstępnym bojem sympatyę publiczności warszawskiej. Ale też przyznać trzeba, że dyrekcya teatru lwowskiego dokłada wszelkich starań tak w kierunku urozmaicenia repertoaru, jak i w kierunku sumiennego wykonania go i że na sympatyę tę w zupełności zasługuje.

Po przepięknej historii „Jasia i Małgosi“ Humperdincka usłyszeliśmy słynną „Sprzedana

narzeczoną“ czeskiego mistrza Biedrzycha Smetany i przesliczny „Powrót taty“ Henryka Jareckiego.

„Sprzedana narzeczoną“ znana jest bardzo dobrze publiczności warszawskiej; nie wchodząc więc bliżej ani w treść ani w muzykę, zaznaczymy tylko musimy, iż wykonanie tej opery przez trupę lwowską zadowolnić mogło najbardziejniejszych słuchaczy.

Opera lwowska ma przedewszystkiem pełną, wybornie zgraną orkiestrę, doskonale chóry i bardzo dobrego kapelmistrza. Te zalety w połączeniu z dobrymi wykonawcami głównych partyj stanowią właśnie o powodzeniu, jakim się teatr lwowski cieszy w Warszawie.

Partyę Marynki śpiewała panna Bohusówna. W interpretacji jej postać wiejskiej dziewczyny czeskiej wyszła tak sympatycznie, że lepiej jej sobie chyba nie wyobrażał sam kompozytor. Partya ta dała utalentowanej śpiewaczce sposobność okazania całego bogactwa swego dźwięcznego głosu, inteligencji muzycznej, smaku wykwintnego, uczucia i tych wszystkich zalet, które pannę Bohusównę stawiają w rzędzie najbardziejniejszych śpiewaczek. Artystki tej miary pozazdrościć może teatrowi lwowskiemu każda wielka scena.

Janka śpiewał p. Czernicki i w wykonaniu partyi tej miał chwile prawdziwego powodzenia. Artysta odpoczywać musiał długo, bo głos jego brzmiał silnie i czysto; żałować tylko wypada, że późniejsze występy p. Czernickiego dowiodły, osłabienia tego przedtem pięknego materiału wokalnego.

Pan Bogucki należy do najpoważniejszych filarów teatru lwowskiego. Głos ma piękny, dźwięczny, w skali obszerny, a przytem aktor to wytrawny, nie więc dziwnego, że w interpretacji jego najtrudniejsza ze wszystkich partyj swata wiejskiego Kecała, przypominająca pod względem trudności technicznych styl Mozarta, wyszła zupełnie poprawnie.

Pan Jaroński jest śpiewakiem obdarzonym wprawdzie miłym głosem tenorowym, ale nie nadającym się do wywoływania efektów komicznych, ztąd powierzenie mu robi jąkały Michałka fortunem nazwać nie możemy. Artysta śpiewał pięknie, frazował poprawnie, był jednak zbyt eleganckim, a rola ta wymaga zgoła czego innego.

Wystawa opery odznaczała się starannością, do której już nas przyzwyczaił teatr lwowski i której się dotąd nie sprzeniewierzył.

Największe jednak względy publiczności zaszkarbowała sobie dyrekcya teatru lwowskiego przez zapoznanie nas z przesliczną operą Henryka Jareckiego. I musiała ta historia dziełek modlących się na wzgórkach o szczęśliwy powrót taty posiadać niepospolite zalety, jeżeli zdołała wytrzymać szczęśliwie porównanie z techną ną naiwnością i poezią opowieści Jasia i Małgosi.

Nie pierwsze to kroki stawia p. Jarecki na polu muzy operowej. Prócz ilustracji muzycznych do kilku utworów dramatycznych, między innymi do „Balladyny“, wzbogacił on muzykę polską całym szeregiem oper. „Mindowe“, „Jadwiga“, „Wanda“, „Barbara“ to wszystko opery o zakroju poważnym, które zjednały muzykowi polskiemu wybitne miejsce w szeregu kompozytorów współczesnych. Opery te wystawiane były w ciągu ostatnich 25 lat na scenie lwowskiej z wielkim powodzeniem; u nas Jarecki, aczkolwiek dziecią Warszawy i uczeń Moniuszki, wcale nie był znany jako kompozytor i teraz dopiero po 25-letniej chlubnej pracy na stanowisku dyrektora artystycznego opery lwowskiej, przedstawił się nam w charakterze kompozytora, a przedstawił się, śmiało powiedzieć można, świetnie.

Za treść do opery posłużyła p. Janowi Gołębiowskiemu perła muzy Mickiewicza, przesliczna ballada ten sam nosząca tytuł. Niełatwe miał zadanie autor pragnący wykroić libretto do opery z utworu tak powszechnie znanego, tak wielkim otoczonego pietyzmem, tem większa więc jego zasługa, że z zadania tego wywiązał się dobrze, że w przeróbce jego poemat nie stracił nic z swej podniosłości, z swej wartości arty-

stycznej, że uzupełniał myśl poety tam tylko, gdzie tego już konieczna zachodziła potrzeba.

„Powrót taty“ jest właściwie mówiąc operą jednoaktową w trzech obrazach, przedzielonych krótkimi pauzami.

Pierwsza odsłona przedstawia okolicę górzystą z krzyżem przy drodze, pod którym modli się dziatwa w oczekiwaniu na powrót ojca. Modlitwę przerywa jedna z córek opowiadaniem, jak straszne niebezpieczeństwa czekają ojca ich w podróży, jak „rozlały rzeki, pełne zwierza bory i pełno zbójców na drodze.“

Świadkiem opowiadania tego jest ukryty ze krzakami herszt zbójów, który z bandą swą od kilku dni już czatuje na powrót bogatego kupca. Pod wpływem jednak gorących i serdecznych modłów dziatwy, mięknie twarde serca zbójów i kiedy dziecinny idą naprzeciw taty, wyznaje, że on już nie ten sam zbójca; wspomnienie, że i u niego jest „synek tak małeńki“ każe mu odrzucić zbójceki nóż.

„Nie bójcie się dziateczki,“ woła za odchodzącymi, „nie wezmę wam już ojca nie!“

Druga odsłona cała jest wytworem fantazyi librecisty. W odsłonie tej widzimy obóz zbójców; tło to posłużyło kompozytorowi do rozwinięcia jaknajbarwniejszych efektów muzycznych. Mamy tu dumki, szumki, a wreszcie taniec „kołomyjkę,“ a wszystko to pełne werwy, która wywiera nieprzeparty urok na słuchacza. Przed oczyma jego przesuwa się świat nieznan, jakby z bajki jakiegś lub wspomnienie sennego marzenia, o uszy jego objaja się melodia dzika, a jednak takim dziwnym jakimś techną urokiem, że słuchałoby się jej bez końca.

Odsłona ta kończy się wyprawą zbójców na kupca, która im obiecuje bogate łupy.

W odsłonie trzeciej librecista powraca znowu do przerwanej na chwilę wątku opowiadania. Dzieci wybiegają na spotkanie ojca, kupiec wita je radośnie, wypytuje o zdrowie rodziny, a poleciwszy służbie jechać do miasta, sam zamierza iść pieszo w towarzystwie dziatwy. W tej chwili wpadają z dzikim okrzykiem zbójcy; próżno ojciec błaga ich ze łzami, by nie robili „małych sierotami dziełek,“ paść musi pod ich nożami, gdy wtem zjawia się herszt i rozkazuje puścić go wraz z dziećmi na wolność. Następuje dzięki czynnemu śpiew kupca i opowieść herszta kończąca się prośbą zwróconą do dziełek, by i za jego duszę zmówiły choć czasem paciorek.

Obraz ten kończy się bardzo efektownie; po odejściu herszta dziećmi tula się do ojca, a zdała za sceną odzywa się znana z poprzedniej odsłony nuta chóru zbójckiego.

Całość dzieła robi wrażenie nader sympatyczne przykuwając uwagę słuchacza swą melodyjnością, wdziękiem i prostotą. Kompozytorem tą złożył Jarecki dowód, że dobrze rozumiał niezapomnianego swego mistrza, że umiał z wskazówek jego skorzystać, i stworzyć muzykę, która nieprzepartym urokiem trafia do serc słuchaczy, bo sama płynie z serca.

Pierwsza modlitwa dziełek napisana na pięć głosów żeńskich technie taką prostotą i melodyjnością, że słuchałoby się jej, zda się, bez końca. Strapienie, uczucie nadziei i gorąca prośba łączą się tu w całość porywającą swoim nastrojem.

Następujący po tej modlitwie namiętny, pełen żalu śpiew herszta zbójckiego, jest wiernym odbiciem stanu skruszonej jego duszy, a sprawia wrażenie tem większe, że stanowi kontrast z poprzedzającą go pełną prostoty melodią modlitwy.

Rozlegający się zdała smętny ton fletu, stanowiący przygrywkę do odsłony drugiej przygotowuje nas do pełnej rzewnego smutku dumki, śpiewanej przez zbójców i towarzyszeki ich hućki.

Tematu do muzyki tej odsłony dostarczyły Jareckiemu melodye huculskie, które zużytkować potrafił świetnie. Muzyka do kołomyjki odznacza się wielką rytmicznością i melodyjnością. Odsłona ta pod względem malowniczości pierwsze zajmuje w operze miejsce.

Opowiadanie zbójcy w odsłonie trzeciej pełne jest ekspresyi dramatycznej, a efekt końco-

wy, o którym już wspominaliśmy należy do pomysłów bardzo szczęśliwych.

Wykonanie opery było wzorowe i nacechowane pietyzmem, jakiego oczekiwac należało przez pamięć na wieszczą, który utworem swym natchnął kompozytora do napisania dzieła, poezje miejsce zajmującego w literaturze muzycznej polskiej.

Herszta śpiewał p. Gabryel Górski, którego mieliśmy sposobność słyszeć przed dwoma laty na scenie Teatru Wielkiego, a śpiewał tak pięknie, z takim zasobem inteligencji muzycznej, że wzbudzał nieklamany zachwyt w słuchaczach.

Opowieść w ostatniej odsłonie oddana była z wielką siłą dramatyczną, na jaką się zdobyć może śpiewak tak wytrawny i aktor tak dobry, jakim jest p. Górski.

Szczerze winszujemy sympatycznemu artyście tej partyi, którą zaliczać może do najlepszych w bogatym swym repertoarze.

Z niewielkiej partyi kupca wywiązał się p. Bogucki z sumiennością, cechującą utalentowanego tego śpiewaka.

Głosy dziatwy, wśród której prym trzymały sympatyczne przedstawicielki Jasia i Małgosi, panie Bohussówna i Kliszewska, były tak dobrane, brzmiały tak dźwięcznie, że idealniejsze trudno sobie wyobrazić.

Wykonaniem kołomyjki złożyli chórzyci lwowscy dowód, że umieją nie tylko dobrze śpiewać, lecz i tańczyć z ogniem i werwą. Orkiestra sprawiała się bardzo dzielnie, ale bo też dyrygował nią dyrektor i kompozytor w jednej osobie.

Za staranną wystawę i malownicze stroje należy się specjalne uznanie p. Julianowi Myszkowskiemu, reżyserowi opery lwowskiej, który na każdym kroku składa dowody, że powierzona sobie scenę postawić pragnie na wysokości zadania.

Teatr lwowski przygotowuje na sierpień dwie premiery operowe. Pierwszą z nich będzie opera w 2 aktach p. t. „Werbownicy“ z muzyką p. Jakesza, drugą dwuaktową również opera p. t. „Livia Quintilia“ z muzyką Z. Noskowskiego.

Adam Dobrowolski.

LIST Z ANGLII.

W Lipcu.

Wolniej, niżli to innych lat miewało miejsce miasto w tym roku wyludniać się poczęło. Uroczystości jubileuszowe zatrzymały wszystkich. Jestże tu rojno, hałaśliwie i wesoło, lecz na horyzoncie sfer rządzących wieści z Indyi ciemną nadeciągają chmurą.

Szemranie coraz głośniejsze się podnosi, niezadowolone ogarnia coraz szersze koła. Tuziemcy skarżą się i buntują przeciw uciskowi i przymusowi, jakich obecnie dotkliwiej niż dawniej na każdym kroku od Anglików doznają.

Mimo nadzwyczajnej uprzejmości, okazywanej indyjskim radzom, przybyłym na jubileusz do stolicy, w gruncie rzeczy jednak, w oczach Anglików, Indyanie pozostaną zawsze rasą uposledzoną, niższą, przeznaczoną przedewszystkiem na to, aby im służyć i przez nich być wykorzystywaną. Trzeba słyszeć z jaką pogardą odzywają się Anglicy o najbardziej nawet ucywilizowanej części tamtejszej ludności, z jakim lekceważeniem angielskie kobiety spoglądają na żony i córki mieszkańców Indyi.

Oprócz innych ścieśnień i nowych rozporządzeń projektują tu zniesienie wolności prasy w Indyach,—czy jednak podwojona surowość tam, gdzie ludzie przeciw surowości szemrają, właściwym jest środkiem, wkrótce przekonają się o tem ci, którzy innego środka znaleźć nie chcą.

Na innym polu i nie w tak olbrzymim zakresie, surowość ludzi stojących w przemyśle żela-

znym na czele, wywołała bezrobocie, które ogarnęło większość fabryk pod Londynem.

Robotnicy żądają przedewszystkiem zmniejszenia godzin pracy,—lecz napotkali na opór silny i przeszło 25 tysięcy ludzi zostało bez dachu i chleba. Była chwila, że 100 tysięcy robotników rzuciło zajęcie.

Trzeba jednakże przyznać, że żądania ich były nadto wygórowane. Już to rzemieślnik, czy wyrobnik angielski nie lubi przeciążać się pracą,—9 godzin na dobę pracują zapewne wszędzie. Robotnik angielski jeszcze bardziej aniżeli francuzki, lubi widowiska i zabawy.

Nie brakuje tych Anglikom w ostatnich czasach. Wiele z aktorskich i śpiewaczych towarzystw przejezdnych oraz cyrków, rachujących jedynie na ludność z prowincyi przybyłą, pozostało dotychczas. Czekaają aż się miasto wyludni.

Pomiędzy przybyłymi do Londynu trupami, nie mającymi wprawdzie żadnego związku z uroczystościami jubileuszowymi, lecz przybyła w tym samym czasie, jest trupa wiedeńskiego Volksteatru pod dyrekcją Kadelburga.

Trupa wiedeńska dokazała wielkiej sztuki, albowiem tam, gdzie każdemu cudzoziemcowi nadzwyczaj trudno zdobyć choćby względne bardzo powodzenie, zdobyła zupełne i to w czasie, w którym tu występowały takie uznane zagraniczne wielkości jak Sarah Bernhard i Réjane.

Lwia część powodzenia trupy przypada pani Odilon, która zimną i zawsze dla obcych surowo i niedowierzająco usposobioną publiczność do łez poruszała i do frenetycznych zmuszała oklasków. Otto Brandes poświęca znakomitej artystce szeroką ocenę i stawia ją w rzędzie najwybitniejszych tegoczesnych talentów.

Darujcie mi czytelnicy, że wspomnę jeszcze o jubileuszu królowej, ale, po pierwsze, zabrał mi on tyle czasu, że niepodobna było mi zdążyć z przeglądem literackich nowości, o których obiecywałem sobie pomówić dzisiaj — a który to przegląd do następnego listu odkładam,—po wtóre, jakkolwiek uroczystości miały miejsce 10 dni temu, żyjemy tu jeszcze wszyscy pod ich wrażeniem.

Każdy zaopatrzony jest w jakąś jubileuszową pamiątkę—tych najwięcej widzi się w kształcie miedzianej monety z portretem królowej. Zamożniejsi w dyadem portretu każą oprawiać drogi kamień. Wielu pamiątkę brylantowego jubileuszu ozdabia brylantem. W dzień jubileuszu podobne pamiątki noszone były jako guziki.

Pisma roją się dotychczas życiorysami i anegdotami z życia królowej. Przypuszczam, że niejedną z moich czytelniczek zająć mogą szczegóły o prywatnym życiu monarchini, jako zacnej kobiety i dobrej matki i dlatego poświęcam im koniec niniejszego listu.

Istotny talizman dozwolił sędziwej jubilatece, której imię dziś po całym rozbrzmiewa świecie, zachować w blasku i niepokalanej czystości ową purpurę królewską, nałożoną przed 60-ciu laty na młode ramiona. Przez talizman ten umiała królowa Wiktorya utrzymać się na wyżynach, do jakich nie dorosła jej poprzedniczka Elżbieta a talizmanem tym jest jedynie to, że dzisiejsza władczyni Anglii, przez całe swe długie panowanie, nie zapomniała ani na chwilę, iż jest nie tylko królową, ale zarazem kobietą. Tą drogą zyskała sobie uznanie i cześć głęboką oddanego jej ludu.

Wiktorya, urodzona dnia 24-go Maja 1819 roku, wychowana była przez matkę, księżnę Kentu, córkę księcia Sachsen-Koburga,—w ścisłym oddaleniu od wszystkiego, co miało jakkolwiek styczność z dworem. Majątkowa pozycya księcia Kentu, zmarłego w ośm miesięcy po przyjsciu na świat córki, nie należała do świetnych.

Opowiadają, iż dowiedziawszy się od małżonki o rychłym powiększeniu rodziny, księżę, który wydał wówczas sporą sumę na umeblowanie pałacu i budowę stajen, zmuszony był uciec się do pożyczki, by powrócić na czas do Anglii i zapewnić dziecięciu możność powiedzenia

w przyszłości: „Jestem urodzonym Anglikiem, lub Angielką.“

Książęca para, dla braku środków nie mogła dostarczyć dziecku p. atnej karmicielki i matka, aczkolwiek niezupełnie zdrowa, musiała je karmić sama. Nie mając ojca, dziewczynka całe swe uczucie przelała na troskliwą i czułą matkę, w której sercu kryły się nieprzebrane skarby dobroci i najszlachetniejszych zasad.

Wychowanie księżniczki było nad wszelki wyraz staranne i praktyczne. Po za wiadomościami ogólnymi i nauką języków: angielskiego, niemieckiego i francuzkiego, do przedmiotów poważnie traktowanych należały rysunki i muzyka. Lekcyje śpiewu pobierała księżniczka od Lablache'a; do muzyki służył jej piękny Erardowski instrument, podarunek od króla Jerzego. Niemalże czasu poświęcano również na ręczne roboty kobiece. Wiadomo powszechnie, iż księżniczka Wiktorya ze szczególnem upodobaniem bawiła się lalkami, którym własnoręcznie szyła ubranka. Piękna kolekcya lalek znajduje się dotąd w zamku windsorskim. Zamieszkała w Jenie panna Mauser posiada dwadzieścia dziesięcioletniej wówczas księżniczki. Nie wielkie te poduszeczki, przeznaczone dla lalek, skrajane są z kawałków jedwabiu i atlasu, które dostawcy dworscy przysyłały księżnej jako próby.

Jedna z dam angielskich przechowuje między innymi pamiątkami, szkic kostyumu ślubnego, pomysłu i wykonania księżniczki Wiktoryi. Jak serdecznie i prawdziwie kochała Wiktorya swoją matkę, o tem sądzić było można najlepiej z nieustającej gotowości do ofiar i poświęcenia, okazwanej schorzałej matce na schyłku jej żywota.

Skoro nastąpiła nieunikniona w r. 1861-ym katastrofa, Wiktorya pisze do stryja swego, króla Leopolda: „Umarła moja droga, ukochana, najczulsza, najlepsza matka, z którą nie rozstałam się nigdy na dłużej, i bez której dalszego życia wyobrazić sobie nie umiem.“ List ów nosił podpis: „Twoje biedne, złamane dziecko.“

W młodej księżniczce, od lat dziecięcych, rozwijały się wielkie przymioty ducha i serca, które urobiły z niej najzacniejszą kobietę, najdoskonalszą matkę, najlepszą królowę i opiekunkę ludu.

Kiedy po raz pierwszy nauczycielka podsunęła jej tablicę genealogiczną, wskazując po śmierci Jerzego IV-go prawa Wiktoryi do tronu, księżniczka, wówczas dwanaście lat licząca, odrzekła po krótkim namyśle: „Inne dzieci chełpiły by się tylko z tego, bo nie znają jakie do tego przywiązane są trudności. Wielki blask łączy się tu z niemniejszą odpowiedzialnością.“ Przy tych słowach, pisze baronowa Lehzen, owa nauczycielka,—księżniczka podała mi rękę, poczem rzekła: „Pragnę być dobrą. Teraz rozumiem, dlaczego muszę uczyć się łaciny, której nie znają moje kuzynki Augusta i Marya. One powiedziały mi, że łacina jest podstawą angielskiej gramatyki i wytwornego stylu, uczyłam się więc zachęcana przez panią, ale teraz dopiero pojmuję, dlaczego.“ Tu mała księżniczka, w zamyśleniu, raz jeszcze podała mi rękę, powtarzając z naciskiem: „przedewszystkiem pragnę być dobrą.“

Przytoczone wspomnienie świadczy najlepiej o doskonałej metodzie wychowania i o zdrowym poglądzie dziecka. Dziecko pragnęło być dobrem, dobrą więc stała się i była zawsze późniejsza kobieta i królowa. Cały zaś bogaty zasób przymiotów jej serca rozwinął się wtedy dopiero do potęgi, gdy poznała i pokochała równego sobie wiekiem, młodego księcia Alberta Koburgskiego. Związek ten, bynajmniej nie przypadkowy, był rezultatem dojrzałego projektu ze strony barona v. Stockmara i króla Leopolda.

Przezornie przygotowano pozory, by zamiar mógł być łatwo cofnięty, w razie, gdyby między dwójkiem młodych ludzi nie wywiązało się wzajemne uczucie. Przypuszczenia, ugruntowane na wspólności charakterów, usposobień i upodobań, okazały się trafne. Księżniczka stawiała wprawdzie początkowo pewne warunki; pragnę-

ła np. aby księżę, zanim ją poślubi, nauczył się doskonale po angielsku. Gdy jednak ukazał się w Windsorze, w całym blasku młodzieńczej urody, wszelkie wahania upadły i królowa, zgodnie z przyjętym zwyczajem, sama ofiarowała mu swą rękę.

Jakim było to małżeństwo, wie świat cały. Spoczywało ono na zdrowych, uczciwych i rozsądnych podstawach. O ile bowiem w życiu społecznym losy postawiły królową wyżej nad małżonką, o tyle w prywatnym, jemu przysługiwały wszelkie prawa pana i głowy domu.

Nie znaczący to wcale, by królowa wyłączać miała swego małżonka ze współdziałania w sprawach państwowych. Oceniała ona wkrótce niepowzedni jego umysł, rozległą wiedzę i wysokie zdolności. W nim znalazła bezstronnego doradcę, sekretarza i rzec można, stałego ministra, ku dobru państwa i rodziny.

Najkrótsze rozłączenie odczuwali oboje małżonkowie dotkliwie. Z powodu wyjazdu księcia na kilka dni do Lancashire w 1846-ym roku, królowa, pisząc do barona Stockmara, wspomina: „Bez mego drogiego pana czuję się wielce osamotnioną i jakkolwiek rozumiem, że inni ludzie często na pewien czas rozłączać się muszą, nie umiałabym nigdy do tego przywyknąć. Bez niego wszystko przestaje mię zajmować. Rozstanie, choćby krótkie tylko, jest zawsze dla mnie bolesnym i dlatego błagam Boga, by mi nie pozwolił przeżyć mego męża. Przy nim tylko czuję się szczęśliwą.“

Nie łatwym dla królowej było zadaniem, pogodzenie trosk macierzyńskich z obowiązkami tronu, a jednak, umiała podołać im jaknajlepiej. Królowa, która była idealną córką stała się także matką dla dziewięciorga dzieci, które nauczyły się otaczać ją niemniejszą czcią i miłością niż ta, jaką niegdyś otoczona była ich babka. Najłżejsza choroba dziecka była dla królowej równie ważnym wypadkiem jak wybory w państwie, a nad kwestyą dłuższych, czy krótszych sukienek, umieli oboje rodzice obradować z taką powagą, jak gdyby chodziło o zmianę gabinetu. Spełniając z całym oddaniem się obowiązki matki, królowa własną piersią wykarmiła wszystkie swoje dzieci, a z biegiem lat całą duszą poświęciła się ich wychowaniu.

Dowodziła, że jako matka też same względem dzieci swych ma obowiązki, co każda, choćby najuboższa kobieta, będąc więc zdrową i silną nie powinna uchylać się od tego co jest jej obowiązkiem najnaturalniejszym.

Z surowością karciała dziecko w razie nieposłuszeństwa nauczycielowi lub nauczycielce, tym ostatnim zawsze przyznając słusność. Kary wymierzane były bez względu na obecnych. Pewnego razu, gdy przy wjeździe do Dublina, księżę Alfred, na powitanie ludu, nie odkrył głowy, matka jedną ręką zrzuciła mu kapelusz, drugą wymierzyła potężnego klapsa.

Kapelusz stoczył się pomiędzy tłum i księżę do końca pozostał z odkrytą głową. Otaczający głośnie okrzykami, nie zaniechali wyrazić swego zadowolenia i uznania.

Królowa z własnego doświadczenia nauczyła się cenić dobroczynny wpływ wychowania zdala od życia dworskiego i zasadą tą kierowała się względem własnych dzieci.

Opiekę nad nimi powierzała wyłącznie takim osobom, które cieszyły się niezachwianem jej i jej męża zaufaniem. Oboje rodzice pilnie śledzili za postępem nauk i przyjmowali żywy udział w moralnym rozwoju dziecięcych umysłów swych potomków. „Dzieci,“ tak pisał młoda matka, „powinny być wychowane po domowemu. O ile to w naukach nie przeszkadza, dobrze, gdy jaknajwięcej przebywają przy ro-

dzicach i przywykają od najmłodszych lat do darzenia ich zupełnym, bezwzględnie zaufaniem.“

Wychowanie księcia Walli było niesłychanie pieczołowite i staranne. Młody księżę wzrastał pod kierunkiem barona Stockmara.

Królowa czuwała nad tem, by moralny i fizyczny rozwój dzieci odbywał się prawidłowo i naturalnie, by przyswajały sobie poczucie ogólnych obowiązków człowieka i przywykały do samodzielnego myślenia. Praca ręczna nie była też pominięta.

W Osbornie istnieje forteca, zbudowana przez młodych książąt, do której potrzebne materiały, nie wyłączając cegieł, sami znosić musieli.

Głęboką, prawdziwą, miłość matki umiały dzieci ocenić i szczerze płacą za nią. Wzruszające wspomnienia znajdujemy w dzienniku księżnej Alicji. Tylko miłość dzieci podtrzymywała królowę w ciężkiej boleści, jaką dla niej była śmierć ukochanego męża. Dopóki pierwsze, najstraszniejsze dni smutku nie przeminęły, troskliwe dzieci nie opuszczały matki ani na chwilę. Od czasu zgonu księcia—małżonka, właściwe życie dworskie upadło. *Drawingrooms* i przyjęcia pozostawia królowa swym dorosłym córkom. Noga jej nie postąpiła już więcej w żadnym publicznym teatrze, lecz za to, tem gorliwiej zajmuje się sprawami państwa. Słusznie rzekł jeden ze znanych polityków: „Świat podziwiać będzie musiał olbrzymią pracę i niespożytą energią, jakie „wdowa z Windsoru“—(tak żołnierze nazywają królową)—wykazała umiała w czasie długoletniego swego panowania.“ Sześćdziesiąt lat publicznej działalności, to dostateczna próba sił i charakteru, a jakkolwiek sędziwa monarchini zasłaniać się mogła rozległą odpowiedzialnością swych ministrów, to przecież dla kraju nie pozostało by tajemnicą, gdyby na tronie zasiadał władca niedbały, niezdolny, bez charakteru, kierujący się chwilową pobudką dobrego lub złego usposobienia. Siwowłosa królowa Anglii stanęła przed światem, jako niewiasta światłego umysłu, podniosłego serca i surowej cnoty, jako najlepsza małżonka i matka, wzorowa monarchini, jako idealna kapłanka domowego ogniska.

S.

Z bieżącej chwili.

— W gronie lekarzy tutejszych projektowane jest założenie Towarzystwa dla sfer inteligentnych, w celu dostarczania bezpłatnej pomocy lekarskiej członkom i ich rodzinom. Za opłatą 5 rs. rocznie każdy członek miałby prawo do korzystania z pomocy lekarskiej bądź w mieszkaniu swoim, bądź w oddzielnym szpitalu. Szpital ten projektowany jest na 50 łóżek i ma być urządzony według najnowszych wymogów techniki szpitalnej.

— W pierwszych dniach września w Teatrze Wielkim daną będzie opera Wagnera „Lohengrin“ z udziałem Jana i Edwarda Reszków.

— Uroczyste otwarcie wystawy rolniczo-przemysłowej w Kijowie nastąpiło we wtorek 20-go b. m.

— W Salonie Sztuk pięknych Al. Krywulca w Hotelu Europejskim urządzoną została zapowiedziana wystawa 50 dzieł nieodżałowanej pa-

mięci Witolda Pruszkowskiego. Na wystawę składają się prace olejne, akwarele, pastele i rysunki węglem—obrazy historyczne, rodzajowe, fantazyje i portrety. „Ofiarowanie korony Piastowi“—„N. M. P. Częstochowska“—„Dzień Zadużny“ (tryptyk)—„Smok Podwawelski“—„Sielanka“—„Chrystus“—„Madej“—„Zaczarowane skrzydki“ (tryptyk)—ostatnia już nieskończona praca artysty.—„Kiedy ranne wstają zorze“—„Jabłoń“—„Wschód słońca“—„Zmrok“—„Wianki“—„Planeciarz“—„Wiejska dziewczyna“—„Drużba“—„Pastuszek“—„Wieczór“—„Schadzka“—„Zadumana“—Portrety: Mickiewicza, Lenartowicza, matki artysty, siostry, brata, bratowej, syna artysty, Bałuckiego, Bartoszewicza, Jelskiego, Szopińskiego, Böhma, Krywulca, Bałuckiej, Trembeckiej, chłopczyka. Krajobrazy, studia i t. p. Podług układu zawartego z komitetem, który urządzał wystawy we Lwowie i w Krakowie, połowa z dochodu wystawy przeznaczona jest na zebranie funduszu potrzebego do wydania pamiątkowego albumu z dzieł przedwcześnie zmarłego znakomitego artysty.

— *Jury* prac, wystawionych przez uczennice kursów artystycznych im. Baranieckiego w Krakowie pod przewodnictwem Piotra Stachewicza, przyznało pierwszą nagrodę pannie Gawalkiewiczównie, drugą p.p. Bąkowskiej, Pruszyńskiej i Kawczyńskiej, zaszczytne uznanie otrzymała pani Sirehmayer, Lustgarten i Swolkien.

— We Lwowie powstać mają w jesieni dwa gimnazyja żeńskie pod kierownictwem pani W. Niedziałkowskiej i pani Strzałkowskiej.

— Rada m. Lwowa wysłała d-ra A. Czolowskiego do Sztokholmu celem zbadania i opisania pamiątek i zabytków miejskich, wywiezionych tam ze Lwowa po zdobyciu miasta tego przez Karola XII w r. 1704. Chwila obecna ze względu na odbywającą się w Sztokholmie wystawę i łatwy dostęp do zbiorów publicznych i prywatnych, szczególnie się nadaje do zbadania, opisanie i ilustrowania tych pamiątek.

— Przyszłość miasteczka Wörishofen w Bawarii, które zmarłemu niedawno proboszczowi Kneippowi zawdzięcza rozkwit i sławę, jest zagrożona skutkiem przesilenia ekonomicznego. Gdy miasteczko rosło w sławę, zabudowywane, je gorączkowo, a spekulanci podbijali ceny wил od czasu choroby księdza Kneippa wszakże frekwencya gości zmniejsza się stale, obecnie zaś po śmierci, liczba kuracjuszy spada coraz bardziej, co wywołuje także znaczną zniżkę wartości domów.

— Dnia 6 b. m. zmarł w Paryżu w 66 roku życia Henryk Meilhac, jeden z najzdolniejszych i najbardziej znanych współczesnych librecistów francuzkich. Przez długi szereg lat pracował wspólnie z Ludwikiem Halévyem i w owym to czasie powstały głośne libretta, które zachęciły Offenbacha do wesołych swych kompozycji, jak „Piękna Helena,“ „Sinobrody,“ „Życie Paryżkie,“ „Księżna Gerolsztejn“ i t. d. Tam powstało również libretto do opery „Carmen,“ operetki „Nitouche“ Hervé'go, opery Massenet „Manon,“ które opracował wspólnie z Gill'em Nie obcą mu też była dziedzina farsy, komedy i wodewilu. Liczne utwory jego zasilają przez długi czas wszystkie niemal sceny europejskie doznając wszędzie bardzo życzliwego przyjęcia.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołączony jest: arkusz 4-ty T. II, powieści p. t. *Marzenie* przez Flor. Marryat. Przekład z angielskiego

Treść: Stowarzyszenia kobiet, przez Janinę S. Aleksotę. — Pogawędka, przez ?? — Na łasce Powieść przez M. N. Sas-Junoszę (dokończenie). — Przyroda w poezji, przez Antoniego Pileckiego (dalszy ciąg). — Ruch muzyczny, przez Adama Dobrowolskiego. — List z Anglii, przez S.—Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: *Marzenie*, powieść przez Flor. Marryat. Arkusz 4-ty T. II. Przekład z angielskiego.—Przegląd mód. 15 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie.—Dyspozycje obiadu.